Rok VI. 12 Sierpnia 1934. Nr. 33

DZWONECZEK



W sierpniowem słońcu.

Najradośniejsza pora wsi polskiej — żniwa kończą się. Uznojeni w słońcu żeńcy, dzwoniące na złotych niwach sierpy i kosy, dudniące żniwiarki i skrzypiące w powrocie z pola wozy pod ciężarem snopów... Ach, jakże wesoło wszystkim w gospodarstwie, jeżeli Bóg dał zebrać z pól w słoneczną pogodę, a jakież znów zmartwienie, gdy słoty trafiły w sam czas żniwa...

Czy to jednak da się porównać z tym wielkim smutkiem, jaki się nade wsią rozsnuje, gdy Bóg ześle powódź, która albo całkiem uniemożliwi — jak w niektórych okolicach teraz właśnie u nas — żniwa, albo każe z zagonów

sprzątać zboża zamulone, zmarnowane... Takie żniwa tego lata przeżywa duża część Polski klęską żywiołową nawiedzona, gdzie zamiast radosnych i beztroskich śpiewów dożynkowych niesie się płacz rozpaczliwy.

A przecież ponad temi zniszczonem powodzią polami, z których tysiące kop zboża miały dać chleb nowy, tak w chatach wyglądany niecierpliwie, ponad tem mnóstwem drzew powyrywanych z korzeniami, ponad temi domami rozwalonemi i zgruchotanemi mostami, ponad łzami zrozpaczonych nędzarzy, którym woda zabrała wszystko, co do życia potrzebne, konieczne, ponad tem wszystkiem nanowo wzeszło promienne słońce i świeci ludziom jednako w smutku, jak w radości... Prześlicznie a głęboko powiedział to poeta Adam Asnyk, którego zgonu rocznica przypada w sierpniu.

Wędrowało sobie słonko uśmiechnięte, jasne, złote:
Szło nad gajem, szło nad łąką. Napotkało w łzach sierotę.
Ten się żali: „Tak wesoło świecisz światu, słonko moje,
Uśmiechami sypiesz wkoło, gdy ja smutny we łzach stoję.
Obojętnie patrzysz na to, jak się ludzkie serca męczą,
I nad każdą ludzką stratą promienistą błyskasz tęczą".
Słonko na to: „Biedne dziecię, i mnie smutno na niebiosach,
Gdy o waszym myślę świecie i o ludzi ciężkich losach.
Lecz nie mogę ustać w drodze, by nad każdą boleć raną.
Więc w złocistym blasku chodzę, wypełniając co kazano.
Nie pomogą próżne żale. Ból swój Niebu trza polecić,
A samemu wciąż wytrwale trzeba dalej iść i świecić".

I tak jest w istocie. Żadne nieszczęście, jakie Bóg na ludzi, czy na całe kraje z niezbadanych wyroków zsyła, nie może być nigdy powodem do upadku w rozpacz bezczynności i załamywania rąk. Choćby po największej klęsce, ustawać w drodze nie wolno nikomu. Trzeba dalej iść i świecić przykładem bohaterskiego podniesienia czoła w górę i zapatrzenia się w znojnej pracy swych obowiązków w jasne słońce niebiańskiej pociechy.

Tak bywało w Polsce zawsze, gdy przez nią przechodziły wielkie powodzie i pożogi, gdy się przez jej niwy przewalały najazdy nieprzyjacielskie. Przecież w takie sierpniowe słońce, jakie teraz świeci pocieszeniem wsiom, z których zamiast żniw powódź z pól zboża zbierała, lat temu 20 zaczynała się wojna światowa, której najsroższe boje niszczyły przez lat kilka właśnie polskie ziemie, a chłop nasz, ani na chwilę nie zwątpiwszy w Opatrzność Boską nad nim i nad jego rolą, nad jego chatą i Ojczyzną umiłowaną nadewszystko, spokojnie orał, siał i zbierał z pola pod gradem kul... Grano podczas owej wojny napisaną przez poetę Kazimierza Kalinowskiego „Szopkę tułaczy", w której na scenę wychodził chłop polski i na dziarską nutę mazurską „Idzie Maciek, idzie" takie śpiewał słowa:

Orze Maciek pługiem, sypie w rolę ziarno.
Harmaty mu grają pieśń jak dzwon cmentarną.
A co mu świśnie kula, to do pługa się przytula
I ziemi swojej śpiewa: Moja dana!
Taki z Maćka Mazur, co się kul nie boi,
Pod kul gradem orze, jakby sam był w zbroi.
Nie zagon swój on kocha, lecz tę Polskę, co dziś szlocha,
I ziemi swojej śpiewa: Moja dana!
Gdyby pod kulami nie orał spokojnie,
Czyżby Maćka dzieci miały chleb po wojnie?
A co go kule zoczą, to ze strachu przed tym zboczą,
Co w harmat huku śpiewa: Dana moja dana!

A ponieważ z takich dzielnych Maćków składała się cała Polska, przeto odzyskała swą niepodległość po owej krwawej wojnie, która skończyła się upadkiem wszystkich jej zaborców.

Lecz zaledwie zaczęliśmy z tej krwawo wywalczonej wolności zpowrotem korzystać, ziemie nasze zalał potop wojsk obcego najezdcy. To 14 lat temu, gdy całą Europę chcieli zawojować bolszewicy. I znowu dlatego, że z takich nieugiętych nieszczęściami, w Boga wierzących całą duszą, a ziemię rodzinną kochających nad własne życie, jak ten Mazur Maciek, składa się Polska, mogliśmy nietylko Ojczyznę wtedy obronić, ale wraz z nią całe chrześcijaństwo. Na tę jego obronę bohaterską patrzył — znajdujący się wówczas między nami, dzisiejszy Papież. Walczyli z wrogiem Boga wszyscy: kto nie z bronią w ręku, ten z gorącą na ustach modlitwą — do naszej w niebie Królowej. I właśnie teraz w święto Matki Boskiej Zielnej przypada rocznica wielkiego zwycięstwa narodu polskiego pod wodzą Józefa Piłsudskiego, które znane jest światu jako „Cud Wisły“.

Któż im łzy powróci?

Obrazek sceniczny w I odsłonie. Napisała P. Wężykówna.

(Dokończenie).

(*Wchodzi Jagiełło z pachołkiem*)

JAGIEŁŁO (*wyciągając ręce*): Ha, cóż to widzę! Toż moja małżonka wśród grona dzieci, jakby ich patronka... Lecz czemu troską zasępione czoło...

JADWIGA (*wstaje, sięga po koronę, kładzie ją na głowę, a dzieci w popłochu usuwają się, szepcząc coś między sobą i pokazując króla i królowę*).

JADWIGA (*podchodząc do króla*): Bardzo mi, Królu, w sercu niewesoło, lecz ufam, że gdy wszystko wyznam szczerze, wnet zaradzicie złemu. Dziś żołnierze wpadłszy do wioski, kmieci ukrzywdzili, biorąc dobytek. Pragnę, by w tej chwili ich nagrodzono, bo krzywda tych ludzi ciężkie wyrzuty w mojem sercu budzi...

(*Wbiegają trzy wieśniaczki i padają do nóg Jadwidze*).

I WIEŚNIACZKA (*obejmując jej kolana*) O, miłościwa pani! niech ci Bóg zapłaci, że tak w opiekę bierzesz biednych z chaty braci.

II WIEŚNIACZKA (*z ręką na sercu*). Jeśli w piersi królowej dobre serce puka, to niech nas nie da krzywdzić Kaźmierzowa wnuka.

III WIEŚNIACZKA (*całując ją w rękę*): Paniczko najjaśniejsza, z pokorą przychodzę· zlitujcie się nad nami, skrzywdzili nas srodze.

I WIEŚNIACZKA (*łamiąc ręce*): Doli matek się zlituj! głodni nasi mali, bo dla dworzan królewskich krowy nam zabrali.

JADWIGA (*podnosząc z klęczek kobiety, płacze z niemi*): Nie płaczcie już, nie płaczcie, wstawię się za wami. (*Zwracając się do Jagiełły*): Serce swe dzisiaj poję ich gorzkiemi łzami... Natychmiast trza nagrodzić tę krzywdę wieśniaczą. Na Boga! z naszej winy niechże już nie płaczą!

JAGIEŁŁO (*zwracając się do Pachołka*): W tej chwili, szybko, śpiesz z rozkazem, prędzej... niechajże kmieciom nie skąpią pieniędzy... Wszystko z królewskiej nagrodzić im kasy, skarcić niewczesne żołnierskie hałasy!

PACHOŁEK (*z niskim pokłonem*): Wedle rozkazu, najjaśniejszy panie! (*wybiega*). (*Kobiety z dziećmi cicho się usuwają*).

JAGIEŁŁO (*do Jadwigi*): Gdy teraz zadość kmieciom się już stanie, wypogódź lice swoje, o królowo...

JADWIGA (*pochylając głowę*): Bóg zapłać, królu, za litosne słowo, że wynagrodzisz krzywdę uczynioną...

JAGIEŁŁO (*ujmując ją za rękę*): Czemuż westchnieniem drży ci jeszcze łono?

JADWIGA (*ze skrzyżowanemi na piersiach rękoma*): O, mój małżonku, bo ta myśl mnie smuci: kto biednym kmiotkom, kto im łzy powróci... Nam trzeba ludu być opiekunami, a więc się strzeżmy, by ich oczy łzami nie zaszły nigdy z naszej winy, królu. Bo nie przebaczy nam Pan Bóg ich bólu... Nie chcę dla włościan być jak zła macocha, ale jak matka, co serdecznie kocha.

(*Zasłona spada*).

ZA KRZYŻEM

(Ciąg dalszy).

— Może tam niepogrzebane jeszcze leżą ciała rodziców — myślały biedne sieroty, ocierając ukradkiem łzy, co się do oczu cisnęły na samo wspomnienie tych ukochanych, których już nigdy nie zobaczą.

— Ale jak my sobie damy radę? — szeptały dzieci między sobą — wszędzie puszcza, pełna dzikich zwierząt, albo nieprzebyte jeziora. Choćbyśmy i kupców jakich spotkali, co w tamtą stronę jadą, czy zechcą nas wziąć?

— A jeżeli spotkamy Krzyżaków? — dodawała Dobrochna — Ja się ich bardziej boję niż Litwinów.

— Tak — przytakiwał Ludomir — oni wprawdzie czczą tego samego Boga, do którego my się modlimy i którego wyznaje cała Polska, a jednak są gorsi od pogan...

— Mimo, że krzyż noszą — szepnęła Dobrochna.

Dzieci zamyśliły się nad tem, a po chwili dziewczynka znowu się odezwała:

— A wiesz, że mnieby nawet teraz żal trochę było porzucać Rutę... Ona nas kocha...

— Algirdas też nas kocha... — dodał brat.

Znowu rozmowa cicha urwała się, a w sercach sierot rodziło się pytanie czy powinny myśleć o porzuceniu przybranych rodziców. Na takich niedokończonych nigdy rozmowach w ciszy nocnej, gdy wszyscy już spali, płynęło życie dzieci, przemocą wyrwanych z macierzystej ziemi.

W dzień Dobrochna, przezwana przez Rutę Aszarą, czyli łzą, ponieważ smutne jej oczy często rosiły się łzami, pomagała przybranej matce w gospodarstwie: doiła z nią krowy i owce, wyrabiała sery, karmiła drób, szukając nieraz po całej „numie“ jajek, zniesionych przez kury. Ludomir, któremu też zmieniono imię na Lubarta, rąbał drzewo, poił bydło, robił wszystko, co się tylko dało, byle w ciągłej pracy i zajęciu rozegnać tęskne myśli.

Bywało nieraz, że Algirdas chciał go wziąć z sobą na polowanie, ale Ruta, której żal było puszczać dziecko z domu na srogi mróz, skąd często dorośli, choć w futra tęgie odziani, wracali z odmarzniętemi rękami i nogami, upraszała zawsze męża, by poczekał z tem do lata. Chłopiec nie żałował wcale i w duszy cieszył się, że może zostać w chacie przy siostrze, zamiast po puszczy gonić za potwornym żubrem, czy niedźwiedziem, z dzikimi, jak te zwierzęta, myśliwymi. Wolał on w „numie“ spędzać długie zimowe wieczory, bo mu te chwile przypominały niedawne jeszcze czasy, kiedy to przy blasku ogniska kręcił się kołowrotek matczyny, a z ręki wysuwała się nitka długa, cienka, niby pajęcze włókienko.

Pamięta, raz matka założywszy nową przędzę, zaśmiała się wesoło i zawołała do męża:

— Hej, dziesiąty już roczek mija, jak z tobą życie dzielę. Poczekaj, we wróżkę się zabawię i powiem ci, jak długo nam jeszcze żyć razem na świecie.

— Daj pokój — odparł ojciec — co sądzone od Boga, to przyjdzie, czy wywróżysz tak czy owak.

Matka, nie odpowiadając, poruszyła nogą kółko, w palce chwyciła odrobinę przędzy i zaśpiewała.

(*Ciąg dalszy nastąpi*). *Ela Oleska.*

Rozwiązanie z numeru 32-go: **Ż-niwa.**